Juljusz Kaden-Bandrowski



Wianki

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

WINIETA TYTUŁOWA
M. KOŁACZKOWSKIEJ

WIANKI

WARSZAWA 1920.

TŁOCZONO W DRUKARNI J. MAJA DŁUGA 48.

99

Tyle jest walk, taki łoskot, kurzawa, a w każdej z nich chciałbym walczyć, gniewną dysząc radością do ostatniego tchu...

Tyle jest spraw, tak piętrzą się, wznoszą i pienią a każdej z nich rzuciłbym chciał całe swe serce...

Tyle jest stopni hyżych, kroczących w strony nieznane i tak bez końca pragnę nimi biec z hałasem, aż tam skąd odszedł cel i dokąd nigdy nie powróci...

Tyle jest wszystkiego i tak wszędzie i tak bez końca, że wreszcie ster z rąk wypada... Wszystkie się kroki rozbiegły, — i wszystkie głosy milkną...

Że wreszcie zostaje tylko, — podarowany człekowi z niepojętych zapasów wieczności, najgłuchszy, własny tok.

Jest to chwila bezbrzeżnego ubóstwa, którym się zawsze wieńczyć musi wszelkie bogactwo...

Wówczas jesteśmy samotni, — jak zapomniane głosy w pustyni...

Lecz wówczas, w tym pochyleniu ostatecznym, wraca ku nam z cudownego zamętu świata odpowiedź na najprostsze pytanie: Rzecz ku nam wraca .. Nasi bracia — graty... Nasi przyjaciele, — stare strzępy... Oddechy trudu w zapomnianej skorupie... Wyniosły ukłon krzywdy w wyświechtanym drzewcu...

Wówczas w tym pochyleniu ostatnim kamienie przyjmą wzniosłość żywych piersi... Woda tryśnie źródłem radości...

I każda blada chwila będzie wtedy doniosłym świętem i tyle życia wionie z każdego zapomnienia...

Zdaje mi się, że cień takiej przemiany spoczywa na słowach, którymi starałem się opleść najprostszą prawdę codzienności z przed kilku lat. Mimo, że czas już przeszedł, składam tę książeczkę czytelnikowi, tworzoną w latach ponurych, podczas, gdy dziś młodość się krzewi w całym naszym życiu. Czynię to nie dlatego, abym zbyt ufał sile moich słów... Lecz wierzę w swoje spojrzenie, którym mocniej niż rzemieniem wiązać się pragnę ze wszystkim, co mija jak liść, jak strzęp, jak nic, — a jest wszystkim...

Warszawa w lutym 1920 r.

ŚPIEWAK ULICY

W głębi podwórza, świdrami pięter pod niebo cembrowanej śpiewam, — by z okien spłoszyć tkliwy deszcz jałmużny—:

Na tym okręcie maszty strzaskane
A na tej lutni struny zerwane....

I idę dalej.

Idę, nogi przed siebie stawiam, — a nie odchodzę....

Nie patrz mi w oczy, mam oczy zdechłej ryby....

Nie patrz mi w oczy, me oczy cuchną....

Jestem śpiewakiem....

Gdzieście odeszli śpiewacy, że was nie słychać, gdzieś-
[cie odeszli bracia?

Na jakich marach, ukołysany, zasnął wasz głos?...

Nie patrz... Suknię mam litą z błota i ulicznego brudu, kurzem przydrożnym sposobię gardło do śpiewu, wśród złotych ciągów spiekoty chłodzę mą krtań, na zimnie, chłodzie i mrozie grzeję mój zapał...

Ciśnij z okna w dół, z góry w dół i spluń w podstawną muszlę rąk, spluń kruszkę dobrobytu, strzepnij monetkę....

Dola chudziutka....

Dola chudziutka, dola cieniutka, dola dziurawa....

Gdzieście odeszli śpiewacy, że was nie słychać?...

Gdzieście odeszli śpiewacy, że was nie słychać, gdzieście posnęli bracia rodzeni, — na tym okręcie maszty strzaskane!!..

Liżę tą pieśnią zamnięte drzwi, zawarte okna, zakrzepłe mury, a u wysokich schodów pałacu, przed gmachem szkoły, przed budą sądu skomlę i skuczę....

Nie patrz mi w oczy mam oczy zdechłej ryby....

Nie patrz mi w oczy, me oczy cuchną....

Gdzieście odeszli bracia, że was nie słychać, gdzieś-
[cie pomarli?

Śpiew mój — to czarna sień.....

We wrotach śpiewu — śmierć....

Uciekaj....

Idę, nogi przed siebie stawiam a nie odchodzę....

Idę we żmudzie, zabłąkaniu, a nie mijam...

Za sobą wlokę czarny wóz choróbsk po drodze nałapanych... Za sobą taszczę wór niewoli i człapię ulicą pod górę....

...Czyście odeszli śpiewacy, że was nie słychać, gdzieście odeszli bracia? Na tylnych łapach staję, — twój kundys czworonożny oswaja się...

Na zadnich łapach, — bebechy batem schlastane kryjąc, przednie łapy z głodu sysając, — kwaśne są, słone, pokrzepiające, — szukam w swym sercu chwili wytchnienia....

Ty je masz, ty je znasz, ty się go uczysz!!...

Ty mądrość pijesz z opłaconych głów, ty cnotę skarbisz z wynajętych serc!!...

Ja kruszę straszny łom niewiedzy, ja zaniechany, ciskany hukiem rozechwianych spraw, ja nieskończony, niepobudowany....

Kisnę pod murem twego kościoła, drę się błagalnie u wrót twoich kosztownych szkół, — a moja żona jest

płodna, a moje dzieci są płodne, a moje wnuki są płodne — nawozim ci twój bruk...

Na tym okręcie maszty strzaskane....
A na tej lutni struny stargane....

Słuchaj.... Jak pęka nuta po nucie i z ust wymiata czerwone skrzepy pieśni...

Gdzieście odeszli śpiewacy, że was nie słychać, gdzieście usnęli bracia niemściwi?...

Nuże....

Przegryzać łapę miłosierdzia...

Huzia!.. Huzia!.. Huzia!..

A my?...

Idziemy falą nieskończoną, znój kształtem troski wielkiej lica nasze znaczy, żenie nas sądu czas ku schodom ciemnych przeznaczeń... Jako garść wiórów, jako ziemskiego losu pogubione ziarno, jako ślepego mlecza pył rozwiany...

Na wygonach przedmieścia, wraz z nocą czarną, tłum wyświecony, wygnany, nuże....

Czarną smołę swych pieśni lejcie, — wylejcie piersi...

Śpiew nasz, — łuczywo, co łzami ognia płacze...

Pieśń nasza, — smoła zapalna....

Idę, nogi po bruku stawiam, a nie odchodzę.... Idę we żmudzie, zabłąkaniu, — nie mijam...

Na tym okręcie maszty strzaskane!!!
A na tej lutni struny zerwane!!!

Pędźcie śpiewacy.... Jako garść wiórów, jako ziemskiego losu pogubione ziarno, jako ślepego mlecza pył rozwiany — kurzem, odmętem zawieją....

...Kurzem zamętem, zawieją uderzcie w luty wasz los!...

WAWEL W NOCY

Wreszcie nie wiem, czy to jawa, czy sen, czyli też prawda okrutna, której nie przetrwa nikt!...

Lecz błądzę po tych murach, wśród szkarpów, gzymsów i szczerb — niczem świecący robak w wyschniętym czerepie olbrzyma...

Srebrną wstęgą wiąże się wkoło Wisła, cień sadów drży w poświatach, jak owiec perlista wełna, w polewie blasków księżyca sztywnieją wonne pola...

Coś łka w martwem źródełku na Skałce — nie mów, że nie...

Umarły wszystkie światła w oczach miasta... Jeno z ciżby dachów, utkwione w głębiach nocy, sterczą sędziwe grzbiety świątyń... A dwie wieże Marjackiego kościoła, jak dwa straszliwe palce, wytężone w przysiędze, nie mów, że przysięgają krzywo!...

Wiatr wściekły hula w dziurawych salach, z szumem przewierca potargane ściany, rózgami wiórów stare herby chłoszcze... Leje śmiesznego pisku kręcą się w wieżach i basztach. A stara pyszna Wielkość na ramie rozpięta okiennej, to się tęży w sztywnej kosie księżyca, to leci w czarne odmęty. I szarpie się wśród zapomnianych ganków i pada krzyżem na pęknięte kamienie podłogi, a myszy i szczury skaczą po niej zuchwale...

Niema drzwi, niema okien, niema wyjść i wejść... A stara pyszna wielkość, cięta promieniem blasku, żarta zgryzem i kurzem, pędzi po salach sierocych, szamoce się wśród filarów, więźnie w bramie, czołga się po przyczółkach i znów, i znów — leci na dno podwórza...

Starość trzeszczy w chorych murach zamczyska, co leży na wzgórzu samotnie, jak twardy czerep bohatera z przed wieków...

I nie wiem, czy to króle wygnane tak płaczą w murach, czy to zbrodnie i wielkie czyny prawują się w zgiełku nocy, czy krew wylana marnie, prześmiechy te wlecze pośmiertne, czy hańba szlocha na baszcie, a prawość cnotę swą przeklina niewczesną?...

Lecz wiem, że po tych szkarpach, wśród murów, gzymsów i szczerb błądzę cicho, — świecący robak w wyschłym czerepie olbrzyma...

KAMIEŃ KOŚCIUSZKI

Leży ów kamień, wprawiony w grudę Krakowskiego Rynku, jak tablica wielkiego przykazania... Słuchajcie bicia serc waszych dziedzice przykazań na szable zaprzysiężonych, wraz z szablą, w ziemię woranych...

Leży ów kamień, wśród zacnego rynku kamyczków białych, taśmą ziemi czarnej brzeżonych, jak na starej kolczugi oczkach — ryngraf sławetny. Słuchajcie tętna skroni, czy w nich nie bije głos dzwonów... Dzwonów, którymi wezwano niebo na świadka Równości...

Leży ów kamień w pośród stuku kroków, przejazdu chłopskich kół, przebiegu spraw codziennych... Wśród urządzeń pokoju i rad, wśród troski o szczęście i byt, jak z bojów przegranych wydarta stronnica granitowa... Czuwajcie, czy nic prócz lauru niema i nic prócz łez, by tej stronnicy treść ożywić?...

Leży ów kamień na bruku u podnóża domów magnackich, jak prosta chłopska pierś...

I nic, że w dzień uroczysty oplótł ją wieniec lauru... I nic, że brzegi kamienia otoczył różaniec świateł, jak sznur łez... I nic, że kamień ten, czułą pamięcią majony, zakwita rocznic urokiem... I nic, i wszystko nic — póki ta wieńców wstęga czerwona, jak rana przez pierś kamienną biegnąca, — nie spłynie wstęgą krwi.... Wstęgą ogromną, strugą czerwoną, rzeką straszliwą, morzem kipiącym...

POD LIPKAMI

Słońce zachodzi, zorza wieczorna w czystych łzach rosy gaśnie, na drodze słychać werbel... Spieszcie się piękne panie zastawiać podwieczorek, dziś będzie książę Józef po raz ostatni...

Sława się rodzi, ból w strasznych żalach umiera, na drodze słychać werbel...

Słychać werbel wartki... Marsz pułków tętni w mroku, jak serca drogiego konanie... Marsz pułków... Toczą się działa za granicę, het precz... Het precz — duch gniewu uchodzi w obcą ziemię, — i znikają!... Łanem krwawych kłosów po nad drogą szumiących, znikają ułańskie chorągiewki...

Z dworka „pod Lipkami" na Zwierzyńcu pod Krakowem, serdecznie żegnany przez krakowskie panie wyjeżdżał ks. Józef na wyprawę lipską, z której — jak wiadomo — już nie powrócił.

Ugnijże się łaskawie grudo drogi, wytęż głos lutnio borów wielostrunna, rozbłyśnij tarczo słoneczna purpurą chwały! Przylgnij do ziemi słodziutki syku zbóż, otwórzcie źrenicę bławatki, i niech się rozchyli blada rana kąkolu, i niech omdlewa płochy mak! Zestrój się cała pogodo w szczęście niezapomniane, bo idą rycerze ostatni...

Otwiera się furta ogrodu, przybył wódz urodziwy...

Sława się rodzi, ból w czułych żalach umiera, na drodze słychać werbel...

Kwapże się niewiast bukiecie miły i niech się uwija słowo lekkie, jak kwiat powoju i niech się nie kryje przecudna pierś i niech się nie wstydzą skrzyć oczy...

Spiesz się rozkwitły wianku róż pod lipą odwieczną lśniący, by wódz czuł jak gładka, tkliwa mija go ponęta, odkąd wie: że w korę tej lipy prastarej wrośnie, jej sławą się stanie odwieczną, trwałością wszystkiego, co tu dojrzewa, wzruszeniem wszystkiego, co się tu rodzi...

Spiesz się bukiecie drogi, bo wódz już wie, żeś jeno uśmiechem chwili... Już wie...

Słońce zachodzi, zorza wieczorna w czystych łzach rosy gaśnie, gniewny duch mocy już bieży w obcą stonę... Znikają!

Łanem krwawych kłosów znikają nad drogą ułańskie chorągiewki, — marsz pułków tętni w mroku, jak wielkiego serca konanie...

TAMY NA WIŚLE

I cóż?... I cóż?...

Po brzegach tężą się tamy, a w ich uścisku twardym i mocnym, spokojnym, równym przepływa... Przepływa zdrowiem wszystkiego słońca, czarem wszelakich świateł, niebieskim tleniem marzenia, ponętą życia wiecznego, przepływa rzeka kochana...

Plecie się, plecie i plecie jej warkocz srebrny, ametystowy, od źródeł wysokich — do ujść szerokich.

Snuje się, pełga i pluska jej mowa rzewna, utkana ze słów, które pamiętają niepamięć czasu, lita okrzykiem wodospadu, gładzona bratnim oddechem fal, co mniejsze są i w większych na zawsze kształt swój tracą...

Czar ziemi plecie kosę tej rzeki, wiew nieba w głosach tej wody pluszcze...

A my czuwamy u brzegów, czuwamy tamą wyciągniętą, iżby głębszy był tok tych wód, głębszy i jeszcze głębszy...

A my czuwamy u brzegów tamą, jak ramię wytężoną... Czuwamy, uściskami kamiennego wysiłku srebrzystą kosę tych splotów ukochanych objąwszy... Iżbyśmy szczęście nasze ująwszy...

Lecz nie! Lecz nie!!...

Na którymś skręcie, — na pierwszym... Wróg nam przetrąca ramiona...

I tak, jak objęć tych nie sposób przerzucić władnie i wedle myśli, tak życia, tak myśli nie sposób rzucić wolnej, bo się w niej tłucze, bo ją przetrąca na gruz ów wróg, który słowa tej rzeki chce zmącić, na ujściu pięść położyć.

I cóż?... I cóż?...

SMOCZA JAMA

Schodzimy i schodzimy marnym skrzeczącym stopniem, bez światła, ładu i składu, jakbyśmy szli na polskiej duszy dno, — czy już umarła?...

Ciemność się włóczy powszędy, a przed blaskiem łuczywa na sklepienia kamienne padają w drżeniu chwiejnym cieniutkie nici lśnienia.

Schodzimy i schodzimy marnym, skrzeczącym stopniem, bez światła, ładu i składu...

Tu, pod zwałami królewskiej chwały, wśród wrzawy heroldów, i rozterki turniejów, zdala i zbliska, w rzeczy tkwiąc samej, u jej podstaw i wraz nigdzie jakoby, piłem od wieków...

Przepiłem prawa magdeburskie, tatarską hecę, hołd pruski, szwedzkie pożary, moskiewskiego świst bicia...

Schodzimy i schodzimy bez światła, ładu i składu...

Ciemność się włóczy powszędy, a przed blaskiem łuczywa na sklepienia kamiene padają w drżeniu chwiejnym krwawe cieniutkie nici, jakoby ściegi ropiejących ran...

Tum pił od wieków, wytrwale, jednolicie.... I kręcił mi się w oczach mój kraj, niczym mych toastów beznogi roztruchan, co jako bez podstawy, wciąż idzie z rąk do rąk.... I tańczył mi w dłoniach pijanych....

Schodzimy i schodzimy marnym, skrzeczącym stopniem, bez światła, ładu i składu....

Roją mi się tu w kątach ciche, wilgotne płazy, żaby rozkisłe i rój tego lotu ciemnego, który jest skrzydeł marnowaniem i rój tego bryzgu ciem, który jest śmiałości potwarzą....

Tu mi się snuje moja wojna i pokój, kot — mysz.... I starą moją pychę słyszę w mlasku wilgoci i wraca tu mój śmiech z szelestem długiej glisty...

Schodżimy i schodzimy bez światła, ładu i składu...

Ciemność się włóczy wszędzie, a przed blaskiem łuczywa, po sklepieniach kamiennych prężą się drżące ściegi, nito przekrwione nerwy mego biednego mózgu....

Tum pił od wieków, jak smok.... Teraz oglądam drogi mojej starej roboty i schodzę, schodzę marnym, skrzeczącym stopniem, bez światła ładu i składu, jakbym podążał ną polskiej duszy dno, — czy już umarła?...

MICKIEWICZ NA KRAKOWSKIM RYNKU

Wichrem gniewu targany tłum, czy błogosławiony łaską pogody, w dni radości i w dni skruchy, podczas wesela i w czas żałoby — naznaczył ostatnią metę i drogi swej kres ostatni u stóp tego pomnika...

Tu nad brukiem kamienia wyrasta żywy bruk głów, a z piersi tysiącόw tu płyną słowa wyznania.

Na najwyższe świadectwo prawdy wezwawszy posąg Mistrza, tu staje trybun, poseł i wieszcz i waży słowa najcięższe...

Tu, niczem do rąk szczodrobliwego żywiciela ptactwo barwnopióre, pędzą sztandary, szerokim skrzydłem na wietrze furkocące... A gdy ich pyszne stado obsiądzie stopnie pomnika barwa tak mieni się, i tak wre, że myślisz, duch poety ukropem żywej krwi tutaj z bruku tryska... Wieszcz śpiżowy w krzu gorejącym się objawia.

Przed królewskim frontonem Sukiennic, u stóp Poety, jak ziarnka maku szarym mrowiem sypią się głowy, aż ku brzegom rynku... I między ziemią, okrzykami tętniącą, a niebem rozwiniętym trwa On jeden, On sam...

Tu czarny tłum we wieczór uroczysty kłębi się i do stopni pomnika przywiera, niczem smoła. A zaś nad ciżbą płoną światła pochodni, jak krwawe łzy, z oczu Mistrza upadłe.

Lecz rano... Nim słońce rozegna błahą gęstwę sinych lęków poranka, nim się zbiegnie na targ kraśny lud pól krakowskich — cisza tu leży... Cisza — i tylko ciekną gęste mgły mleczne, a w pośród nich, rzekłbyś cienia wszechrzeczy zawiązek, — grąży się pomnik.

Mgły płyną, cokół mijają, do rąk się Mistrza tulą, do ręki i do twarzy.

Patrz lepiej... Mgły stoją nieruchome, a Wieszcz Narodu w tkliwej ciszy poranka, zdaje się, idzie naprzód i dąży, dąży wciąż we wiotkich, słabych poświatach... A oto głowę już z nich wynurzył — głowę i ramiona budujące... Zaś od tych ramion na cały rynek i dalej, hen, na ziemie krakowskie i dalsze, inne i wszystkie, które są polskie, od tych ramion snuje się mgła, jak płaszcz rozwiany, polotny, lity srebrem wszystkich rzek i wód, tkany wszystką tęczą łanów, brzeżony złotą lamą lepszej wiosny...

ZWALISKO

Wysoko nad ubożuchną gromadą omszonych dachów miasteczka stoi sędziwe, zdawien dawna poszczerbione zamczysko. Jego cztery baszty stare, niby cztery żadną nawałą losu rogi nieprzytarte, czuwają wytrwale i niezmiennie...

Widziany z oddali, zda się ten zamek spoczywać tu, niczem siwa skamieniała rogatywka... Tu ją porzucił konfederat nieznany, tu ją zostawił w rozłogach gór i pagórków pod jasnym przepływem nieba... Tu ją poniechał ukruszoną, zmurszałą, — a sam odszedł, za słodkie granice widnokręgu, dalej, ach dalej, niż tam, gdzie brunatna warga ziemi dotyka powieki błękitu...

Odszedł — i mówcie gładkie rozpędy nieba, i mów ty, soczyste wzgórz wyniesienie, i mówcie krzaki, piękniej niż kroplą młodego wina, spruszone zielenią pąków, czy wróci?...

Błękity w młodej urodzie słońca lśną jak wody srebrzyste, wzburzona pierś ziemi, nito w oddechu, kłoni się, wznosi, faluje. Zaś oto pośród uciechy wiosny, wśród reszty śniegów, co je wiatr strąca pękiem siwych paździorów, — przemówił głos spiżowy...

Bije południe. — Drży w ptasząt szczebiocie, ciszę słodko strzygącym, ogromnymi kroplami w niebieskie dale spada i niczem miód spękaną treść razowca, nasyca dźwiękiem czerstwe mury.

Bije południe... — Na lekką ciżbę płochych wołań pogody pada dźwięk losów, jakgdyby z nieba ku lasom biegły parole spiżowe...

Minąłem drogę usłaną zgniłym liściem. Idę pod tarczę zapomnianych herbów.

Bije południe... — Czas dźwięczy, głosy się w blaskach łamią, rzekłbyś tchnienia ogniste, rzekłbyś — złociste miecze...

RADCA I KASZTAN

I ty masz głowę radco i on ją ma, a przecie jaka między niemi wydatna zachodzi różnica, — choć ty zapewne przy drodze kasztana posadziłeś a nie on ciebie sadzał przed wszechstronnym twym biurem!

Jego łeb zielony, kudłaty szumi miękkiemi liści gwiazdami dywan fijołkowego chłodu kładzie pod siebie na ziemię... Ty zaś mówisz, kopcisz i nie wiem, co kto woli... A kładziesz pod siebie nie dywan fijołkowego chłodu, lecz, wysiedzianą tonzurę z ceraty.

Jego łeb ogromny i przewiewny za postój służy pszczołom, osom i bąkom — a ty, choćbyś się nigdy nie zgodził dać gościnę na głowie twej takiemu towarzystwu, sam strzelasz bąki złośliwe i przekorne...

Jego łeb szumiący zdobi całe mnóstwo rożków kwietnych i rogów kwiecistych, zaś te, które ty nosisz, nie wiem, czy równie są piękne i wdzięczne...

Jego rogi widzi każdy i nikomu do nich nic, — twoich nie widzi nikt, a każdemu do nich wszystko...

Jego ogromna, pełna życia głowa, chwiejąca się przed mym oknem otwartym, napełnia mnie uciechą i świeżością i napatrzeć się jej nie mogę — a ty, gdybyś wścibił głowę do mego otwartego okna, cóżby wynikło?...

Wszyscyby myśleli, że głowę Satyra posadziłem na okapie okiennym, że jakiś karczoch hoduję nieprzystojny... I pachołek miejski zamknąłby mnie w twoim więzieniu, żem obraził przyzwoitość publiczną...

KRAKÓW NA TRZECH KRÓLI

Śnieg tnie z ukosa, że cały Rynek stoi, — niby za drobną kratą, — za białą kratą uwięzionej bajki.

Tylko wiatr krańce giezła śnieżystego skubie, ludzi wcale nie widać, wrony po rynnach drepczą.

Naprzeciw Sukiennic, rzekłbyś wielki wirydarz z piernika przez cały plac rozciągnionych, nizko, na tych kamykach krąglejszych, niż bocheneczki, — rozsiadły się za straganami kraśne od mrozu baby. Stragany jako łodzie, czy tratwy obciążone, toną powoli w śniegu, zaś szary ich parasol, jak maszt się gnie, wygina i sprzeciwia.

Pochyły czas, odległy, zwiał tu na szczerby kamienia wiatrem podszytą Armadę, co płynie pod żaglem straganu i wiezie na święto pielgrzymów — szczyptę wonności... Wonność garsteczką szarą spoczywa zamknięta, niby w trumience, w malutkim drewnianym pudełku.

Amarant je powleka świeży, jak tęga, jędrna krew. Zaiste lepkie jest i lgną doń palce. Gdzieś na wsi cudak niesamowity usiał gwiazdami tło, — gwiazdy białe, granatowe i żółte. Podstawa malusiej skrzyneczki, zdobiona białą koronką, — a wierzch! Tu glorja, uroczystość i chwała: W modrej ramie, jasnym pnączem rysuku obwiedzionej, złoty okrawek nieba z przedziwnym kwiatem w pośrodku. Przegina się ów kwiat pąsowy i biały zgibami najwdzięczniejszymi w prawo i w lewo, — jak krzyż gramiczny, czterema malutkimi ramionami wielkim stronom świata błogosławiący.

Wieko malutkie utyskuje, otworzyć się nie daje.

Lecz wreszcie...

Oto we wnętrzu skrzyneczki kadzidło, żywica, wonności. Parę kruszynek zetlałych i kreda, na białe pismo trzech liter wielkich wędrowców.

Mojeście wy dary ogromne!

Śnieg tnie z ukosa, że cały Rynek stoi za białą kratą... I niby we mgle mroźnej, czy w bajdy sposobach rubasznych widzę, jak baba krakowska za drobne centy daje pąsowe cacko, usiane gwiazdeczkami, kwiatem we złocie błyszczące. Jak spierzchła ręka wtyka przechodniom w dłonie coś pięknego, — wonne kadzidłem i jałowcem, — wierzące, krwią zczerwienione, serce wsi polskiej....

SZLACHECKIE GNIAZDO

Czas stoczył siłę tych murów, sławę ich wichry rozmietły, pleśń zgryzła gnaty wiązań, butnie rozpiętych pod niebem. Gdzie dawniej tańczył dobrobyt — dziś hula wiatr, gdzie dawniej węgły się rozpierały — snuje i smęci się mgła... Gdzie dawniej baszty opasłe — dziś trzony, klęki, ułomki... Z budowli umocnionej, została jeno posada i ciemne fundamenty.

Pod ich sklepieniem wilgotnym, w sieniach i salach szanownych, dawnych zbrojowniach, miejscach rady, może konfederacji, w murach obronnych — obory...

Pod rżniętym, jak kryształ sklepieniem syczy w spichrzu mierzone skąpo zboże lichego siewu... Spiżowe włócznie do wrót pańskich sztychem pogotowia przybite — strzegą stajni. Świnia pyskuje wśród kamiennych amorów włoskiego Odrodzenia, co leżą z kiścią wiecznych wino-

gron przy ustach, — wdeptane w złotą mierzwę i gnój brunatny... Jak odłamane skrzydła chwieją się w wietrze żelazne okiennice... Na wydeptanym ojców progu — potknął się wół. Zaś głupia koza stanęła u podjazdu i czochra się o rzymski liść akantu pańskiej klamki.

Miniesz bramę pyszną i srogą i w opasaniu tych murów na ciekłym kożuchu błota ujrzysz nowy dwór schyłku Polski, rokokowy, ze sztukaterją zetlałą, niby zwietrzałą szminką, na gzymsach i fasadach.

Kamienne herbów tablice popstrzył drób w domino czarno-białe... Pantarka krokiem trzpiota obiega wkoło pałac...

Na grzązkim kożuchu błota, mizdrzący się ku niebu łamańcami zgibów, spoczywa ów dwór, niby brzuchata saska cukiernica. Zaś w koło niej, jak dusza pokutująca, w zwierzę domowe przedzierzgnięta, biega samotnie płocha pantarka. Póki nagle nie stanie pod złomem baszty sędziwej, tam, gdzie się szczerzą zęby starego zegara, rdzą krwawiące... Póki nagle nie stanie przed kołem złamanego mechanizmu, by z szczerbów jego czarnych, pajęczyną zasnutych, wydziobać ziarnko, czy źdźbło, które tu trafem przyniósł daleki wiatr....

R E M U

Na cichym spoczywasz cmentarzu, w gościnnej krakowskiej ziemi stary rabinie Remu. Aż tu cię zagnał los, ten sam, który wszędzie gdzieindziej gościł twych braci klątwą, znacząc ich czoła piętnem...

Wiedziesz twój ród ze spiekłej ziemi wierzeń zawiłych, twardej i srogiej, jak zakon... Wiedziesz twój ród z gniazd, obróconych w perzynę, — a oto ległeś na ziemi, wiekami trudu zbudowanej, ciepłej od pracy, jak młode gniazdo, tkanej życiem i śmiercią w jeden ciąg silnej pamięci...

Cudami słynący rabin Remu, za czasów Kazimierza Wielkiego przybyły do Krakowa, pochowany na starym żydowskim cmentarzu na Kazimierzu. Uboga ludność żydowska do dzisiejszego dnia składa na kamieniu grobowym pisane na kartkach papieru prośby o chleb, o potomstwo, o zdrowie.

Nie jestże ci tu słodkim twój wielki, wieczny sen mądry Remu? Spoczywasz cicho na zapomnianym cmentarzu, a dzieci twe z pokoleń na pokolenia idą do ciebie radzić się, pytać i prosić...

Przy stopniach twego kamienia umiera fala jęku, bije źródło dziękczynień, czy pęka struna nieukojonej skargi. Na progu zaziemskiego żywota twego pada cichszym od liści szmerem niezliczone słowo modlitwy i błahy się ściele świstek, pisanych do ciebie listów...

Kamień twój stary Remu, jego szczerby i blizny, kwitną wiecznym śniegiem pokornych, smutnych próśb... Nie jestże ci tu słodkim twój wielki, wieczny sen, gdyś legł w tak bujnej, tak gościnnej ziemi, że ci nie odebrała największego skarbu duchów, — którym jest ufność maluczkich...

ZIELONE ŚWIĘTA

Nie tylko o święta idzie w tych dniach pory najmłodszej.

Gdy nad bramami białą radością powiewają akacje, w kątach pokoju, niby wielkie pióra zwiastowania stoją szuwary, a nad oknami wilgne liście olszyny plotkują coś z pospólstwem...

Co ma się pisać tym piórem zielonym i zimnym, giętszym niż śmiech, gładszym od aksamitu?...

Z izby do izby przechodzi, po wszystkich piętrach się ciągnie, legł w słońcu na ulicy, — zapach szuwaru.

Przeciąga się śród domów, wsią dyszy i omamia. Wiąże się, przewiązuje, już pasmami zieleni — opasał całe miasto. Małym zielonym grotem przekłuwa wszystkie dachy...

Bramy w czepcach akacji, okna pod sutą brwią gęstej gałęzi olszyny a nade drzwiami szuwary, jak szpady skrzyżowane.

Bo cała rzecz nie w świętach, ale idzie o wiosnę... By chłopaczek ciepłe swe usta przykładał do łodygi szuwarów, by z nasady liścia w wargi różowe zwiniętej, wyciągał pocałunek... By się usta dzieci łączyły z ustami zieleni i by od pieszczoty tej szedł głos po całym mieście, milszy, niż deszczu plusk, czulszy niż ptaków świegot.

SZLIFIERZ

Na Małym Rynku wspiera się słońce złotym snopem promieni i białą taśmą żaru obciska stare mury. Ostry war drga pod gęstym płatem lazuru, co niby cudna płachta powiewa nad domami.

Ludzie gdzieś precz odeszli i jest pusto. Znojna senność martwą ciszę rozściela na kamieniach.

Tylko słychać, jak przy malutkim warsztacie, skleconym z łat blaszanych, starego drzewca i popękanych rzemieni, pracuje szlifierz.

Ach szlifierz, szlifierz!...

Wśród pyłu i gorąca i pokornych kropelek wody, wśród żmudnych chrobotów koła trzyma coś w grubych palcach...

Cienkie to jest, jak włos, błyszczy czyściej niż lód i dzierżące ręce rojem iskier skrapia, skrapia, rosi i chrzci, że palce kwitną gwiazdeczkami płomienia...

Ciche to jest jak syk, jak sztywny, skryty syk, zaś brzmi o wiele cieniej, niż nić szyjąca mięso, sprężyście, posuwiście.

Ślizkie to jest, jak źdźbło, jak czyste suche źdźbło.

Na kole kamiennym się płaszczy, gnie się, syczy i świszcze, cienkie i ciche ostrze, straszna kreska, gotowa kreślić w prawo, w lewo i wprost, gotowa serce przekreślić...

Na Małym Rynku wśród żaru murów, na kamiennym kolisku... Na kamiennej fortunie ostrzy się małe ostrze, cieniusieńkie jak rzęsa, z pod której spojrzeć może i może ludzi zmrozić lód nienawiści...

Ostrzy się jasna kreska, gotowa serce przekreślić, dzierżące dłonie rojem iskier skrapia, że palce kwitną gwiazdeczkami płomienia...

WYKŁAD POPULARNY

Do nizkiej małej sali niosę kilka słów, zaś w palcach ciszą onieśmielonych, zarys wskazania...

Oto jesteśmy naprzeciw siebie, ja, gorejący we wstydzie rzeczy mówionych zapóźno — i oni, co przybyli tu dla jednej nikłej iskry...

Mówię wciąż, jakbym biciem krwi własnej ciszę słuchania wypełniał, na drżącym ręku niosę gest słów....

Aż oto wśród nizkich, niewygodnych ław, z zapatrzonych oczu iskra wybłyska.

Słuchają, zda się, własnej niemocy mej...

Słuchają mowy coraz cięższej...

Bo mi ciężą te źrenic światła gorejące... Bo w miarę słów, co biegną odemnie w ciszę, sypie posłuch w mą pierś spojrzenia ich, jak iskry...

Słuchają mowy coraz cięższej, póki me serce, jak trzos, monety pełen niewymiennej, wszystkie światła spojrzeń w siebie zebrawszy, — nie pęknie...

WYŚCIGI

Kto pierwszy i jak?!... O głowę, pół, całą długość, — zad, ogon, czy chwost?...

Suchych, szklących się koni dosiadły jedwabne małpy z długim żądłem peitsza za cholewą.

Teraz się zważą subtelnie...

Przy torze, wśród bielonych szlabanów roi się szyk z zadłużonego sąsiedztwa, zatabaczonego salonu, z wysoko podgiętej alkowy.

Panie w sukniach obciśniętych pod piersią, pod brzuszkiem i pod kolankiem, jak puste, odęte skrzypy... Zaprasowani panowie. Świetnej noblessy śmiech koński, a przy totalizatorze uszczypliwy syk rozłakomionej gry.

Kto pierwszy?!... O głowę, pół, całą długość, — o zad, ogon, czy chwost?...

Jedwabne zygzaki, zgarbiły się na siodłach... Lecą już, lecą, lecą!

Od tego bicia kopyt ktoś drży, emaljowaną twarzyczkę nastawiłby na ten tusz ostrych grud... Ktoś inny paluszki zaplata anemiczne, a oczy, — oczy ma mokre od ruchu prężnych pośladków vollbuta... Ktoś inny piersią dostałą, czynniej niż fala, chłonie sfory zgonionej pot ostry...

Konie mijają dokoła, a na nich krótkie, małpy z różnobarwnego lukru...

Któryś z nich — finish, finish — praży klacz w brzuch rasową żyłką inkrustowany, w brzuch i pod brzuch, tak mocno, tak cudnie praży, że najspokojniejsza panienka płacze z litości, tłumiąc w gardziołku słodziutkie trele zachwytu...

W brzuch i pod brzuch tak mocno, tak cudnie bije, że któreś gładkie plecy gną się w chybkim dreszczyku...

Kto pierwszy w tym wyścigu, kto tu pierwszy i jak?... O głowę, pół, całą długość, — o zad, ogon, czy chwost...

DYWANY

Nastał ranek, przyszła godzina przepisana i ze wszystkich ganków zwisły długie, szerokie dywany, jak bajeczne, mięsiste języki...

Ten jest zdrów, — zdrów, zdrów... Czerwony, w kaszkę wypukłą, niby gruczołami smakowymi u nasady osiany, tęgi i zamaszysty... Ten jest ciemny, krwisty, apoplektyczny, a ten znów obłożony i szary, przestarzałą powleczony niestrawnością...

Przyszła godzina przepisana, na wszystkich gankach trzepią się głośne języki, trzepią, mlaszczą, parlują, że po mieście rozhowor idzie i szum i huk. Pusty, odęty głos rozbija się wśród ścian nierówną zgrają, watahą, z piętra, z poręczy na piętro...

Całe miasto ujada, czy całe miasto rży, czy całe miasto ze śmiechu pęka?!...

Przysuńcie się cichutko... Niech na głowy wasze spada kurz, proch, ogarki, popiół i zgrzyt... Nie zakłócajcie zażywnej gawędy dobrobytu... Niech gada, niech się wygada, niech śmieje, niech się wyśmieje... Niech tchnie i niechże wytchnie na wasze głowy, tyle dni wstrzymywany, rubaszny, dziki swój humor...

To od tej ciszy, co ją wsiąkły, od tego kurzu, co go wessały, od tego zgrzytu, co go ściszyły, mlaszczą tak teraz i pyskują...

Więc cicho, ciszej... Nie przeszkadzajcie kazaniu, które wam prawi wywalony na gankach jęzor szanowny...

To od tego dostatku, w którym jełczeją, to od tego splendoru, w którym się płaszczą, zatchnęły się dywany, że je dławi czkawka poranna...

Wy zaś słuchajcie na dole i niech wam służy za pociechę, że nigdy ten dzień nie nastanie i ta przepisana godzina nigdy nie przyjdzie, w którejby tak samo właśnie na ganki miasta wylazł Dostatek, — i by samego siebie katował rozgłośnie, tak głośno i z takim trzaskiem, jakby samemu sobie gruchotał kruche, chore kości...

EMIGRACJA

Leniwie przeciąga pod mostem miałki ruch miasta. Toczą się biedne małe wozy, jak graty, snują się ludzie, jak cienie. Ale wysoko, hen, nad ostrym, ostrym szczytem wieży, pospiesznie płynie niebo bolesne i spłoszone. Rozmach burzy się zbiera w wysokich dalekościach, szumny odmęt wiosny kłębi się w chyżych chmurach. I lecą, lecą zdyszane, wiatrem skorym pędzone, ku nieznanemu końcowi.

Tu na dole, pod ciemnym łukiem mostu, drobniutki jazgot dzieci, skrzyp wozów, ciżby krok...

Tu na dole, maleńkie wszystko, serdeczne, przemijające, — jakbym to miał na dłoni... Jeszcze chwila, a przesypię ten kram z ręki do ręki, niczem garstkę opiłek...

Gdy w tem... Zadrżały głuche echa... Żelazne pulsy biją coraz rozgłośniej. — Łomot się ciska, rozpręża... Po moście, tuż nademną przejeżdża długi pociąg...

W tętencie, w trzasku żelaza, miota się pieśń gromadna, a wraz z nią!.. Z nią,. wraz z nią, za kraju tego granice, za nieba gniewy wiosenne precz pędzi lud zgłodniały...

Łuk mostu się unosi, wiekiem rozwartej trumny... W straszliwym zgiełku wozów, podczas tej bujnej wiosny, przetrzebiona przednówkiem uchodzi wiosna narodu!

Echa pytają się ech, głos hucznie pędzi za głosem, po niebie grom goni grom, jęzory czarnej burzy świszczą w sinem powietrzu... Zaś z bezdeni niebiosów gnane precz pokolenia błogosławi uśmiechem, na wzniosłej wieży uwita, złota korona. W ciemnościach popobna szczęce drapieżnej, szczerzy się, błyszczy, jak próchno...

STRÓŻ

Chodził po całym domu, po wszystkich piętrach, od drzwi do drzwi z tym osobliwym śmiechem, pół służalczym, pół drwiącym... Stawał na progach mieszkań, huczał coś ciężkim przeziębionym głosem, budząc rozgłośny śmiech.

Kto tam?

Stróż.

Na tle okna, za którym śniegi, szkieletami drzew przerośnięte, biegną daleko, — kroczył żałosny i śmieszny w liberyjnym kaszkiecie i w portczętach cieńszych, niż z gazy.

Śmiał się radośnie i przezornie, jak ludzie niewiedzący co spotka ich za chwilę, — śmiech, czy obraza?... Jeno w zmrużonych oczach żarzył mu się i świecił, niczem złote ziarenko, bystry serdeczny blask...

Stanąwszy przy mnie, wciąż z tym samym uśmiechem błogosławieństwa i strachu, wyprężył ramiona i rzucił z czarnej dłoni garść złocistego owsa.

Ziarenka jak bystre krople, błysły w powietrzu, lecąc mi na ramiona i na podłogę.

Raz — i jeszcze — i jeszcze raz...

Na zdrowie — szczęście, na Nowy Rok...

Schyliłem radośnie głowę pod tym deszczem, którym chrzci swych braci na Nowy Rok człek ubogi, stróżujący w niedoli ubóstwa z rękami pełnymi zboża i znoju, z garściami pełnemi urodzaju i złota...

ŁAŃCUCHY MIEJSKIE

Na rogach domów odwiecznych, u wylotu ulicy, wiszą skręcone, stare łańcuchy, rzekłbyś bicze olbrzymie i straszliwe...

Czarne są, zimne i chropawe.

Oblazła je suchym liszajem ruda rdza, czas nadgryzł, dziury i szczerby zaniósłszy sypkim prochem nieustannego przemijania. Trącone, drżą i chrzęszczą, — jakby żelaztwo to, groźnego szczęku wyzbywszy na starość, — zrzędziło ledwie...

Gdzieżeś ty ostry szczęku, prężonych srodze łańcuchów? Gdzie na bruku hałas tej cięgi żelaznej, w której chwyt i ogniwa, jak dziś rdza, wplatała się ongiś krzywda i spiżowy łomot dumnego przywileju?...

Gdzie błyski i skry na tym łańcuchu, jak czarny błyszczący miecz ulicę przecinającym?...

Dziś oto, patrzcie, — podobny ciemnej poczwarze, zgiął się we dwoje, w troje, dziesięcioro. Przywarł do muru grudą bezkształtną, — niby wytrwałe piętno niezgonionego nigdy cienia...

W odgłosie kroków, w tętencie nowego życia drżą ledwo dostrzegalnie żelazne ogniwa władzy umarłej. Drżenie to dalsze jest, niż pamięć zbrodni przebaczonych i zapomnianych, — tak słabe, że aż nęcące...

Były łańcuchy te, — jak przesąd ciężkie, jak zazdrość twarde, jak pycha głośne i szorstkie...

Nie mijajcie ich zbyt skoro.

Należy, niby walnej ojcowizny grudę, ważyć w ręku ciężar zniewolonego dziś żelaza... Należy tkliwie obejrzeć ten warkocz kuty, — srogą ozdobę sprawiedliwości, startej już dziś z oblicza ziemi... Należy dobrze uczuć jak martwym i bezwładnym jest dziś ten wąż pustooki, ongiś pręgą zakazu ruchy życia wstrzymujący...

Bowiem dbać należy, by więdła moc łańcuchów wszelkich, by nie było w koło nich nic prócz rozświetlonego uśmiechu pobłażania... Bowiem pamiętać należy, że zerwanego łańcucha wieniec — najozdobniej wieńczy ludzi z pokolenia na pokolenie...

ŁOPATY

Kształt mają serc, twardość szponów, wygięcie chwytkich pazurów... Pazurami tymi przerwiesz snadnie zielsko i pyrz, rozkruszysz lód, rozdrapiesz ugór kamienisty.

Mają kształt serc zatwardziałych, żelaznych, a tylko straszyć może ich połysk gładki i świst... Bo w bezrobotnym ręku, na kijach grubych, świechtanych, jak wbite na pal vota, lśnią tak niesamowicie...

Wbite na pal u nóg się włóczą, lub ciężą na ramieniu, przejętych głodem, niemrawych już zda się z pragnienia...

Dźwięczą i rzężą po bruku, raz po raz niecąc skry...

Skry gniewu, pożaru, wybuchu?...

Rzesza się jakaś nieznana przewala ciemną chmurą między murami miasta... U wrót swych władz przystawa... U stóp zarządu czeka i prosi i wygląda... Przychodzi z głodnych pól, powraca z sztywnych rzecznych tam, ze szponem łopaty na plecach szuka, szuka roboty...

W tym strachu ciężkim, z sercami na ramieniu...

Wbite na pal wloką się za krokami, dzwonią na ścisłym bruku, raz po raz niecąc skry...

Ty zaś możny człowiecze, gdy zjawią się na kamiennych władzy stopniach, odpowiedź im dajesz pustą, odpowiedź im dajesz wykrętną, odpowiedź im dajesz płonną, jakby to były igraszki, cacka z lodowatego cukru, wielgachne makagigi na patykach, żarty...

Zaś to są serca na kijach, — na grubych kijach — serca...

WIANKI

Był tu ktoś, — czy też to tylko mit, wieść rozwiana i zorza ginąca, — że był tu ktoś, co nie chciał chromej zgody, a wolał z wieńcem na skroni paść w chwałę świeżych wód...

Że był tu ktoś, komu ta rzeka wstęgą się okazała nieśmiertelności...

Że rycerska niewiasta, — cały blask oczu, wszystek czar piersi i niespełniony kielich bioder i wdzięk silnej dłoni i chyżych stóp lekkość poświęciwszy, — ugody nie chcąc chromej, skoczyła w toń...

Od tego czasu, jak od wieków, wiry się przeganiają na wód opończy złote, siwe, zielone...

Od tego czasu, jak od wieków, rok w rok kwiatami czułych wianków wiosna spływa po wodzie ku końcom nieodgadnionym...

Ale od dnia tego rok w rok Sława zakwita na fali... I każdy czyn odwagi, krzyk męstwa, huk wybuchu, i wszystko co zgodą nie jest chromą, — nie tuła się już, lecz wraca w dal, ku owej chwili, której nie widział pono nikt...

Nie tuła się już, lecz drga światłem najdroższym na wązkich wieńcach prądu...

Ale od tego dnia, słodkiej niewiasty w czyn bohaterstwa przemienionej, wielkie czyny się wiążą w wieniec nierozwiązany...

Więc, gdy woda kwiaty odniesie i złoży na dnie ojczystym, gdy niebo okwitnie błyskawicami uroczystych ogni i znów spocznie w czarnym swym majestacie... Gdy lżej niż mgła rozsnują się po brzegach echa śpiewów pochwalnych, — patrzcież na ten wieniec ostatni, wiecznie szeleszczący w toni, wiecznie w wieczność płynący, patrzcie na krwawy wieniec tych, którym się rzeka zwidziała wstęgą nieśmiertelności...

Kraków 1913 — 1914.

SPIS RZECZY.

I.

Śpiewak ulicy

II.

Wawel w nocy
Kamień Kościuszki
Pod Lipkami
Tamy na Wiśle
Smocza jama
Mickiewicz na Rynku
Zwalisko

Radca i kasztan
Kraków na Trzech Króli
Szlacheckie Gniazdo
Remu
Zielone Święta

Szlifierz
Wykład popularny
Wyścigi
Dywany
Emigracja
Stróż
Łańcuchy miejskie
Łopaty
Wianki

TEGOŻ AUTORA

NIEZGUŁA	(*Powieść*)
ZAWODY	(*Nowele*)
PROCH	(*Powieść*)
ZBYTKI	(*Nowele*)
PIŁSUDCZYCY	
ISKRY	
BITWA POD KONARAMI	
MOGIŁY	
SPOTKANIE	(*Nowele*)
ŁUK	(*Powieść*)
WYPRAWA WILEŃSKA	
PODPUŁ. LIS-KULA	(*Życior.*)